

I

*jesienny wiatr wyrwał
z matczynych rąk telegram
i coś jeszcze**

Minnie rozplata dwa oberżnięte nierówno warkocze i zbiera włosy w asymetryczny koński ogon. Dwie łzy płyną po rozpalonych policzkach, wyciera je szybko rękawem bluzy, żeby przypadkiem ktoś nie zauważył, a wełnisty supeł poplątanych skarg zatyka jej gardło, nic jej się nie udaje, gimnazjum to prawdziwa porażka, koledzy i koleżanki kompletni kretyni, brat, mały tyran, kradnie jej kieszonkowe, a dziś, gdy odważyła mu się sprzeciwić, złapał nożyczki do prac plastycznych i obciął jej pół lewego warkocza. I jakby tego było mało, ostrzegł, że jeśli naskarzy mamie, drogo za to zapłaci, Minnie dobrze wie, że groźba wypowiedziana to groźba spełniona, więc stanęła przed lustrem w szkolnej toalecie i skróciła też prawy warkocz, żeby oba były równej długości. Mama nie jest głupia, spyta, będzie chciała wiedzieć, i co jej wtedy powie? Spływa trzecia łza, którą trzeba przełknąć.

* Nicholas Virgilio, przeł. Andrzej Szuba.

Nie zdążyła jeszcze o tej łzie zapomnieć, gdy wyrasta przed nią w bladym październikowym świetle rozmazana postać jasnowłosej dziewczynki przewyższającej ją prawie o głowę. „Masz fajkę?“, dziewczynka patrzy jej badawczo w oczy, Minnie kuli się w sobie, bo nie pali, a jeden jedyny raz, kiedy włożyła papierosa do ust i udawała, że się zaciąga, mama tak ją trzepnęła, że między ustami a policzkiem został purpurowy ślad palców, pamięta palący ból i strumień słonych łez, a odległe wspomnienie ożywia zapomniane odczucia, Minnie chwyta powietrze krótko, głęboko, żeby opanować nerwy, bo aż w niej wrze, zaraz wykipi. „Co jest? Dobra, zapomnij“, rzuca obojętnie jasnowłosa i siada obok niej z rękoma na podolku i nogami wyciągniętymi na ciepłym betonie. Rozgląda się bacznie dokoła, wyjmując z kieszeni na pupie tabliczkę rozmięklej czekolady i wsuwa kawałek do ust, brudząc sobie ręce, które zaraz wyciera w wyświechtane džinsy, zęby ma teraz brązowawe, podobne do ogorzałej od słońca skóry. „Chcesz?“, mruczy, podsuwając czekoladę Minnie, a ta ułamuje nieśmiało kawałek i trzyma go w ustach, póki się nie rozpuści, jakby wystawiała na próbę swoją wytrzymałość, bo się brzydzi, i chociaż zdobyła się na odwagę, wstrzymuje na chwilę oddech, przełyka ze szczelnie zamkniętymi ustami, bo bakterie nie mogą żyć bez tlenu, co nie?

„Masz na imię Leto?”, duka Minnie, choć w gruncie rzeczy wolałaby, żeby jej wszyscy dali święty spokój, to nie jest stosowna pora na pogaduszki, przez półtora miesiąca w nowej szkole najwyżej pięć razy zamieniła z kimkolwiek słowo, bo wszystko zależy od tego, jakie zrobisz wrażenie, jakie nosisz ubrania, gdzie mieszkasz i gdzie spędzasz wakacje, a Minnie na żadne z zadawanych po cichu i natrętnie pytań nie może odpowiedzieć jak trzeba. Dziewczynka z blond włosami i odrobiną piegów, rozrzuconych w nieładzie na kościach policzkowych, pochmurnieje i opuszcza wzrok na adidas, Minnie siłą rozpędu półotwiera usta, tak, że ledwie widać dwie szczybki na przodzie, „od jakiego imienia jest Leto?”, a dziewczynka z piegami, wyraźnie rozgniewana, popycha ją gwałtownie, zrywa się i rusza przez szkolny dziedziniec, z rękami w kieszeniach. Minnie ociera oczy, pociąga nosem, bierze głęboki wdech i z rozmachem, aż na wysokość zdezelowanych tablic koszykarskich, kopie irytujący kamyczek, co się przyplątał pod czubek buta i szukał guza.

Imię jasnowłosej dziewczynki faktycznie brzmi Leto i nic w tym strasznego, koledzy i koleżanki noszą jeszcze dziwniejsze imiona, równie nietypowe, antypatyczne i trudne do wymówienia, lecz ona ma na dodatek mrocznego satelitę, ogon komety wlokący się za nią od urodzenia, gwiazdkę, przypis do idiotycznego i kompletnie od czapy imienia, co też

mamie przyszło do głowy, żeby przykleić jej jakieś „68”, które ją będzie piętnować i prześladować do końca życia. Oficjalnie, w dokumentach urzędu stanu cywilnego i w szkolnym dzienniku, nazywa się „Leto, 68, Kabanis Müller” i chociaż stara się ten fakt ignorować, pochłonięta zabawą i beztroską przedwczesnego dojrzewania, ciągle się zdarza, tak jak dzisiejszego ranka, że jakiś perfidny nauczyciel zechce jej o tym dobitnie przypomnieć, wywołując w klasie szydercze chichoty, żarty i drwiny. Nie chce być inna, nigdy nie chciała, już wyjątkowy wzrost i rozwinięte ponad normę ciało we wrażliwym wieku dwunastu lat sprawiają, że się wyróżnia, a ona chce należeć, stanowić część zwartą, jednolitą grupę, co już na starcie jest niemożliwe, bo jak ma się zgrać z innymi głupimi i brzydkimi imionami, skoro przyszło jej wlec za sobą jakąś bezsensowną liczbę.

Nienawidzi tego „68” całym sercem, tak jak się nienawidzi kompleksów i tłumionych emocji, brzydzi ją każda ważna data, która się groźnie zbliża, nie przez przypadek czuje wstręt do lekcji historii i świadomie lub nieświadomie myli chronologię zdarzeń, niejedną raz wygarnęła mamie, że ją uwięziła w odjechanym imieniu i nazaczyła obciążającą datą, ma gdzieś, co znaczy dla matki i całej ludzkości owo „68”, jedynym jej błędem, chociaż nie całkiem jej błędem, jest to, że przyszła na świat o chwilę za wcześnie, bo urodziła się trzydziestego pierwszego

grudnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku, i przez to swoje pojawienie się za pięć dwunasta skazana została na upamiętnienie tego, czego nie zdołała przeżyć jej mama, Susan Müller, której potem przyszło do głowy wyjść za Basila Kabanisa, jej ojczyma, przyszywanego tatusia, i nie dość na tym, wdała się z nim w interesy i we dwoje, za dniówki zaoszczędzone z trudem w czasach, gdy ramię w ramię pracowali przy zupach Campbell, jednocześnie ze sobą flirtując, kupili i odnowili profetyczne i romantyczne „44”, słynną niegdyś polską jadłodajnię w dzielnicy Cramer Hill z wykonanym tandetnie wprost na ścianie portretem Mickiewicza królującym nad rzędami laminowanych blatów, podobizną, która dawniej, jeszcze w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym, orędowną za tolerancją i pojednaniem, sławiła amerykańskie lewicowe i demokratyczne odczucia oraz ideały wschodniego wybrzeża w mieście głęboko konserwatywnym, które potężniało i rozrastało się dzięki pierwszemu i drugiemu pokoleniu republikańskich imigrantów, mieście rozparcelowanym na miłujące spokój i ład etniczne sąsiedztwa, których mieszkańcy nie bratali się z sobą poza fabrycznym tygłem, a jeśli już ktoś opuszczał granice swojej dzielnicy i przenosił się w lepsze miejsce, bliżej rzeki Delaware czy północno-zachodniej części miasta, to tylko dlatego, że wreszcie mu się powiodło, że się dochrapał własnego dachu nad głową i paru dolarów

w kieszeni, bo amerykański sen był i jest najlepiej zrozumiałym, wspólnym językiem, co zjednuje bogów i usypia demony, i obsypuje darami wszystkie ich bękartcie dzieci.

Rodzice poznali się w fabryce zup Campbell, Susan, lat dwadzieścia cztery, ustawiała stopy puszek na przenośniku taśmowym osiem godzin dziennie, sześć dni w tygodniu, Basil, lat dwadzieścia osiem, był szefem personelu, odpowiedzialnym za tysiąc bez mała osób i dwieście tysięcy identycznych puszek gęstej zupy pomidorowej w czasie jednej zmiany. Susan, dawniej studentka uniwersytetu stanowego w Ohio, rok przed odebraniem dyplomu na Wydziale Nauk Politycznych, kierunku ekonomia polityczna, zakochała się w pewnym hipisie, synu fabrykanta, rzuciła studia i podążając za nim, przemierzyła w poprzek całą Amerykę, aż do San Francisco, a konkretnie w okolice Haight-Ashbury. Byli ze sobą półtora roku, tyle trwała miłość, jedno lato przemieszkali w komunie, dwie łagodne zimy na ulicach, żebrząc o miłość wśród przechodniów i rozdając kwiaty. Rozdzieliła ich Leto i Woodstock, przeciwległy, przebiegający brzeg Atlantyku, gdzie z zimą i obowiązkami nie było żartów, więc po koncercie i pierwszym jesiennym deszczu każde z nich, mniej lub bardziej kulejąc, poszło w swoją stronę, Scott wrócił na łono rodziny i chcąc nie chcąc zapisał się na uniwersytet Berkeley, w końcu zachodnie skrzydło Wydziału

Zoologii nosiło imię jego pradziadka Johnsona juniora, Susan zaś, która miała na pieńku ze swoim protestanckim ojcem, drobnym rentierem, i nie wróciłaby do Columbus, stolicy chrzanionego Ohio, choćby się świat walił, wsiadła do rozklekotanego nocnego autobusu przedsiębiorstwa przewozowego Greyhound i bladym świtem dotarła do Camden w New Jersey, gdzie mieszkał i pracował w RCA Victor jej młodszy brat. Dwa miesiące później poznała Basila, ślub cywilny wzięli po pół roku z okładem, gdy Leto miała za sobą czternaście miesięcy życia, młoda para głośiła i podkreślała z naciskiem, że była to miłość od pierwszego wejrzenia, lecz nie słuchał ich nikt poza młodszym bratem Susan, którego w gruncie rzeczy nie interesowało szczęście siostry, jedynie to, że ubęda mu dwie gęby do karmienia. I nieistotny był fakt, że miał kierownicze stanowisko, szły ciężkie czasy, wyczuwało się, że coś nieuniknionego jak śmierć puka do sąsiednich drzwi, podejrzewało się, że nadzieja to tylko obciążające urojenia, widziało się opustoszałe domy i opuszczone fabryki, których liczba z miesiąca na miesiąc rosła w postępie geometrycznym.

Pierwsza poddała się stocznia nowojorska, upadła, pociągając za sobą na dno dwa i pół tysiąca robotników, budżet nie spinał się bez nowych zamówień, a to, co gorliwie wypracował przemysł zbrojeniowy w latach zawieruchy i wielkich wojen, zniszczone zostało przez powszechne pragnienie świata lepszego

i pokojowego, w rok, może dwa lata później, ledwie Nixon doszedł do władzy, zamknięto RCA Victor, terier meloman* przeniósł się do Meksyku, gdzie była tania siła robocza, zarząd obwiniał związki zawodowe o wieczne strajki oraz żądanie wyższych płac, związki zawodowe obwinały zarząd, że ponad wszystko zawsze stawiał zysk, Camden straciło miejsca pracy, w mieście liczącym dziewięćdziesiąt tysięcy mieszkańców w ciągu tygodnia zwolniono pięć tysięcy ludzi, i tak w połowie lat siedemdziesiątych tania restauracyjka przemianowana na „Ariadnę”, z wyblakłym Mickiewiczem na ścianie i białawymi kolumnami wymalowanymi nad kolorową Greek Salad i smakowitym „dżeros”**), przestała być tym, czym była i czym, jak się zapowiadało, miała być, upadek przemysłu i przedłużająca się wojna w Wietnamie doprowadziły miasto do kryzysu, ludzi ogarniała niepewność, dzielnice się kurczyły, niedobitki z kwitnącego jeszcze niedawno miasta ciągnęły na obiecujące przedmieścia, pierwsi wynieśli się Żydzi, za nimi Włosi z Grekami, a jej rodzice, tak, jej rodzice, trwali w niezmiennym optymizmie i w tym

* Terier imieniem Piper zdobył logotyp wytwórni gramofonów RCA Victor oraz wytwórni płyt o tej samej nazwie. Obraz malarza Francisa Baronta przedstawiający teriera przy gramofonie nosi tytuł *His Master's Voice* (jeśli nie zaznaczono inaczej napis pochodzi od autorki).

** Giros.

optymizmie byli kompletnie nie do ruszenia, uparcie patrzyli, jak ich majątek topnieje, a ich marzenia przepadają na zawsze.

Leto ma to w nosie, starzy dokonali wyboru, tylko niestety, ich podszyte tchórzem zuchwalstwo obciąża jej własny grzbiet, to ona dźwiga ciężar spoczywającej na nich odpowiedzialności, mieli podobno wizję świata idealnego, wprowadzali ją do społeczeństwa, które zmieniało się niby na lepsze, „gówno prawda”, jedyne, co jej poprawia nastrój i ma jasny sens, to gra w nogę, dwie bramki w ściśle wyznaczonych miejscach na krótko przystrzyżonej trawie, wyraźnie ustalone reguły walki, piłka tocząca się po murawie, jabłko niezgody pomiędzy dwudziestoma dwoma parami solidnie wytrenowanych nóg, obrona i przejęcie, zwłaszcza efektownym wślizgiem, bo w golach nie jest dobra, więc o nich woli milczeć, jak o wszystkim, co ją gniewa.

Gimnazjum w East Camden jest dla niej złem koniecznym, które w jakimś momencie musi się skończyć, na pewno z nadejściem pełnoletności, jeśli nie wcześniej, poza tym nie ma już żadnych wątpliwości, że jedyną pożywkę dla wszystkich jej utrapień, nie wyłączając sprawy nieszczęsnego imienia, stanowi niewdzięczne i naznaczone bezsilnością dojrzewanie oraz towarzyszące mu uciążliwości, denerwujący blond meszek na udach i goleniach, opinający staniak, w którym się dusi, kretyńska alergiczna astma,

która potrafi ją niespodziewanie unieruchomić, tak jak w trakcie meczu zeszłej wiosny, gdy przyroda i pyłki normalnie oszalały, a one rozgrywały mecz z gimnazjum z Cooper Point, jej drużyna wygrywała jeden do zera i brakowało raptem dwóch minut do końca spotkania, gdy atakująca przeciwniczek wyrwała się obronie z prawej strony, Leto ostatnim sprintem dobiegała z lewej i szykowała się do najważniejszego w życiu wybiecia wślizgiem, które jej drużynie dałoby puchar okręgu, a jej samej może nawet tytuł najlepszej zawodniczki, gdy nagle straciła oddech, poczerwieniała, zgięła się w pół, piłka przeleciała tuż przed nią, rzecz by, całkiem wolno, a za piłką, na luzie, środkowa napastniczka, która po chwili przedryblowała golkeeperkę ryzykownym balansem ciała i jakimś cudem strzeliła do pustej bramki. Mecz zakończył się dogrywką, Leto obserwowała dodatkowe pół godziny z ławki, przeklinając swoje kiepskie geny i marihuanę, którą paliła od małego, jeszcze w brzuchu mamy, gdy tymczasem jej szkoła, z dziesięcioma zawodniczkami na boisku i bez żadnej zmiany, traciła puchar, a ona upragniony tytuł. „Zdarza się”, stwierdziła z twardym oklahomskim akcentem trenerka, jasne, tylko jej się zdarza, to chciała wykrzyczeć: „tylko mnie”, lecz ostatecznie nie powiedziała ani słowa, skuliła się w rogu ławki, zacisnęła pięści, wbiła paznokcie w skórę dłoni, żeby nie zakłócić ceremonii wręczenia pucharu,

a przede wszystkim, żeby się nie rozplakać na oczach współzawodniczek, osaczających ją pogardliwymi spojrzzeniami za ostateczny wynik meczu. O tym teraz myśli, to sobie przypomina, i dopiero przeraźliwe wrzaski kolegów i koleżanek, którzy uganiają się po szkolnym dziedzińcu za kotem z raną na grzbiecie od pocisku wiatrówki, żeby go, nieszczęśnika, jeszcze bardziej udręczyć, przywracają ją do rzeczywistości, do dzwonka, który brzęczy przeciągle, do dozownika, który wyciąga z kieszeni, do głębokiego wdechu, który bierze, żeby jakoś przetrzymać to swoje nieznośne życie i zbliżającą się lekcję historii Stanów Zjednoczonych.

W ostatnim rzędzie szkolnej sali Leto próbuje wyciągnąć wygodnie nogi w jednoosobowej ławce, gdy pani Gardner opowiada o złotych czasach Ameryki, sławetnych latach dwudziestych, kiedy rozwój był synonimem konsumpcji, a dobrobyt każdego przemysłowego miasta mierzono liczbą kominów zadymiających horyzont oraz tłumami robotników, miejscowych i imigrantów, wylewających się każdego ranka na ulice, tą ludzką armadą, która podnosi kotwicę z pierwszym brzaskiem i rusza do znoej pracy. Pani Gardner przechadza się w tę i z powrotem między rzędami ławek, szurając topornymi sandałami po zniszczonej lastrykowej podłodze i kołysząc do snu dwudziestu pięciu uczniów powolnym, katatonicznym tańcem,

jej tułów przypomina samonapędzające się wahadło z tendencją do zaniku drgań po pewnej liczbie wychyleń, niedługo oscylacja ustanie i sześćdziesięcioletnia drobna kobieta zatrzyma się, podając lekko ramiona ku przodowi, Leto zaś zacznie się zastanawiać, czy to nie nadmiar wiedzy tak przygina do ziemi i wykrzywia ciała, a kiedy pograży się w tych niestosownych rozważaniach, pani Gardner dotknie z czułością jej ramienia i wyszepcze głosem cichym jak odległe echo nieuniknionej przyszłości, „nie kul się tak, bo ci garb wyrośnie”, po czym zniknie, hen, daleko, przy czarnej tablicy, wtenczas odezwie się dzwonek i krzesła w zgodnym rytmie zaczną szorować z hurgotem po podłodze.

Leto dźwiga szkolną torbę na plecach, idzie żwawo z ramionami sztywnymi od wysiłku, bo chce się trzymać prosto, ale szybko się zapomina i kontynuuje marsz z pochyloną głową, zatopiona w zadumie, a tornister podryguje na plecach z każdym zamaszystym krokiem, wołałaby dotrzeć do domu przed zmrokiem, nie dlatego, że się boi, ale w ubiegłym tygodniu, też był poniedziałek, te barany z liceum Woodrowa Wilsona zaczęły się na jej kolegów z drużyny koszykówki i stłukły ich na kwaśne jabłko, aż fioletowi byli, bez żadnego powodu, tak tylko, dla zabawy. O tym teraz myśli, więc przyspiesza kroku, a jednocześnie stara się wyrzucić z głowy każde podejrzenie, że może stać się coś złego, bo mama ją

ostrzegając, że najwięcej zła wyrządzają myśli, potrafią podsunąć najgorsze scenariusze i otworzyć ścieżki tam, gdzie nie ma nic poza mroczną i złowrogą gęstwą, myśli rodzą się spontanicznie, a ty potem cierpisz dożywotnio, „rozumiesz, Leto, mój skarbie?“, Leto nie bardzo rozumie, o czym Susan mówi, ale nie szkodzi, raz nie zrozumie, drugi raz nie zrozumie, lecz za trzecim razem dotrze do małej najgłębszy sens zawsze obecnej i wszystko wypełniającej matczynej miłości i troski.

Słońce zachodzi niemrawo nad miastem Camden, gdy Leto potyka się, przykuca na skraju drogi i poprawia rozwiązane sznurowadło, a kiedy po drugiej stronie przejeżdża zmierzający ku południowemu zachodowi szkolny autobus miejscowej gminy, z wypisaną na karoserii dewizą „równe szanse w edukacji”, która mówi wyraźnie o prawie każdego ucznia, niezależnie od narodowości, koloru skóry i sytuacji materialnej, do korzystania z tych samych przywilejów w edukacji publicznej*, w oknie autobusu Leto dostrzega Minnie z buzią przyklejoną do szyby, z czarniawymi, kędzierzawymi i obsmycznymi

* Tak zwany „busing”, zapewniający bezpłatny dowóz dziecka do szkoły w odległej dzielnicy, miał na celu przemieszanie uczniów w szkołach amerykańskich, aby wyrównać szanse mniej uprzywilejowanym oraz zróżnicować uczniów w szkołach dotychczas jednolitych pod względem rasy, pochodzenia i sytuacji materialnej.

warkoczykami, patrzącą przed siebie, daleko, ku rzece Delaware, i jeszcze dalej, ku Filadelfii, gdzie mieszka jej ojciec, który opuścił ich, gdy była niemowlęciem, więc go nie pamięta, a jeśli chowa w pamięci jakiś związany z nim obraz, to tylko zniszczone długie buty znalezione na pawlaczu, numer czterdzieści osiem, z których zrobiła doniczki, nasypała do środka ziemi, nawozu i posadziła w nich fasolki na lekcje botaniki.

Minnie mieszka w szemranej dzielnicy z szarymi kamiennymi domami od dawna pozbawionymi blasku, upływ czasu zniszczył je wszystkie jednakowo i w tej równo rozdzielonej szpetocie jest harmonia, zaniedbany kamień nie dziwi, jak gdyby czas obrobił go z mądrością, rudery dźwigają przeszłość bez mała pobożnie, dając świadectwo ludzkim ambicjom udaremnionym przez bieg zdarzeń, mieszkańcy i ruina współistnieją zgodnie, pogodzeni z destrukcją, i tylko wieczorami, gdy wcześniej się ściemnia, zwłaszcza teraz z nastaniem zimy, strach człowieka ogarnia, bo kiedy brzydota budynków skryje się pod szronem mroku, a kształty odzyskują coś z minionego splendoru, ludzie, chcąc odczarować dobroć nocy, co powleka jak balsam nadwerężone mury, zamieniają się w bestie, żeby przypadkiem nie ulec złudzeniu, że warci są czegoś lepszego, i nie zaprzecić się swego nieszczęsnego losu. Minnie wysiada z autobusu, zarzuca plecak na ramiona i pospiesznym ruchem

dłoni żegna meksykańskiego przyjaciela, kierowcę, Miguela Ośmiornicę, otula się cienką kurtką i ze wzrokiem utkwionym przed siebie, biegnie wzdłuż strumienia Newton dotykającego Morgan Village, a dalej na zachód łączącego się z rzeką Delaware, która niepodzielnie panuje nad miastem i osacza je nieustannie szkodliwą wilgocia, a okresowo chmurami krwiożerczych komarów żerujących na ludzkich rozbitkach i stojących wodach dopływu Cooper.

„Wcześniej wróciłaś”, mówi mama z wnętrza kuchni, gdy zasapana Minnie rzuca szkolny plecak w korytarzu mieszkania na parterze, pędzi do salonu, chwyta pilot i otwiera telewizor, „masakra”, wciąż jeszcze nie podali daty, kiedy puszczą następny odcinek *Dallas*, musi się wreszcie dowiedzieć, kto strzelał do J.R., sześć miesięcy minęło od marca, a pytanie nadal pozostaje bez odpowiedzi, niedługo listopad, a oni wciąż trzymają ludzi w niepewności, Minnie przez całe lato traciła czas na domysły, kto i dlaczego, z nadejściem września nabrała otuchy, bo telewizja otwiera nowy sezon, więc wszystko powinno wrócić do normy, ale na nieszczęście zastrajkowali aktorzy, i to na czas nieokreślony, więc we wrześniu była mowa o październiku, w październiku o listopadzie, niby jakoś w połowie, widzów oburzało czekanie, a producenci z CBS tylko dolewali oliwy do ognia i chcąc ludzi jeszcze bardziej zaciekawić, dłużej potrzymać w napięciu, na okrągło puszcza

parominutowe trailery ze wszystkimi możliwymi wersjami wydarzeń, kto mianowicie mógł zostać mordercą, wobec czego dyskusje rozgorzały na nowo, ale co tu dużo gadać, połowa obsady miała powód, by popełnić zbrodnię, Minnie już latem gotowa była iść o zakład, że do J.R. strzelała jego matka Miss Ellie, bo on tyle zła wyrządził biedaczce, a nikt ci bólu większego nie zada niż najbliżsi, im więzi ściślejsze, tym dotkliwsze rany, Pete chociażby, jej starszy brat, trzeciego września to było, złapał wiatrówkę i trafił ją w lewe ramię, Minnie wrzasnęła, postawiła na nogi całe sąsiedztwo, a on się śmiał i przeproszał, że niby niechcący, przez pomyłkę, błędy ludzka rzecz, więc się zdarzają, a piękne oczy Minnie zrobiły się z bólu jak szparki, zamgliły się od ciekących łez i wtedy już na pewno wiedziała, że to ona, matka, zabiła J.R.

„Dwudziestego pierwszego listopada, powiedzieli, pokażą”, Minnie odwraca głowę i spogląda na mamę, która żuje coś, co przypomina smażonego banana i co w San Juan nazywają „plantanem”, ona sama, od czasu gdy jej taki plantan na siłę wepchnęli do ust, nie znosi ani jego smaku, ani wyglądu, chociaż wszystkowiedząca i niestrudzona Luisa próbuje ją przekonać, że plantan zawiera mało sacharydów, a dużo potasu, więc niech lepiej przestanie kapryścić i dziwaczyć, tylko zaakceptuje to, co dla niej dobre, bo wiedza czasem przychodzi za późno, żeby zapobiec czemuś, czego się później żałuje, Minnie, znów

plecami do matki, patrząc w telewizor, już prawie chce spytać, co będzie na kolację, bo jest głodna jak wilk, ale czuje rosnące napięcie w powietrzu i zaraz potem, wiadomo, światło jest szybsze od głosu, słowa padają jak rozszalałe grzmoty, „coś ty zrobiła z włosami, niech cię lichol!”, i nie dość na tym, tłuste od gotowania palce Luisy chwytają i ciągną za resztki warkoczyków, jakby takie ciągnięcie mogło przywrócić to, co na zawsze stracone.

Zbliża się jedenasta w nocy, a Pete nie wraca, matka krąży po salonie, Minnie otulona wełnianym dziecięcym kocykiem siedzi w rogu kanapy i udaje pochłoniętą skomplikowanymi zadaniami z rachunków. „Która godzina?”, pyta setny raz Luisa i ani nie oczekuje, ani nie otrzymuje odpowiedzi, „kiedy go ostatnio widziałas?”, Minnie, nie podnosząc wzroku znad książki, mamrocze „mówiłam już, mam, był w szkole”, Luisa wychodzi z salonu, otwiera drzwi mieszkania i drepcze po wąskim chodniku, jakby się zastanawiała, czy przejść przez jezdnię, jak gdyby środkiem płynął groźny, rwący nurt, blade zarysy jej niespokojnej sylwetki chybotcze się na koronkowych zasłonach, jej cień olbrzymieje na ścianach, unosi się nad kanapą, wisi nad głową Minnie jak zła wróżba. Minęła dwunasta, Luisa obiema rękami podpie-
ra głowę przy kuchennym stole, Minnie drzemie na kanapie, a pomiędzy nimi stoi milczący telefon, nikt nic nie wie, dwaj najbliżsi przyjaciele od dawna są

w domach, policja nie potrafi dodać żadnego znaczącego szczegółu, jak coś się wydarzy, dadzą znać, niech się nie martwi, tymczasem jednak telefon tkwi na swoim miejscu, niemy i upiorny jak obrazy, które powstają w głowie Luisy i w niechcianych snach Minnie.

Już prawie świta, a Pete'a nadal nie ma, Luisa siedzi na tym samym miejscu, jej ciało przypomina ciężarek odcięty od linki pionu, Minnie opatulona wełnianym kocem śpi niespokojnie na kanapie, słońce zagląda z wahaniem przez okno i oświetla zakurzone kąty, wczorajsze sieci pracowitych pajaków, okruszyny chleba na podłodze, bezład i zaniedbania wywołane przez noc głębokiego smutku, Luisa podnosi się ledwie żywa z krzesła, zapala gaz na kuchence i mechanicznymi ruchami przygotowuje jajka sadzone na cienkich paskach bekonu oraz grzanki z margaryną i cukrem.

Dopiero co obudzona Minnie, z włosami potarganymi od spania, z pustym, burczącym brzuchem, staje za nią i pociąga za skraj znoszonej podomki, bez odzewu, „która godzina, mamó?”, pyta cicho, żeby nie spłoszyć matki niestosownym pytaniem, Luisa przypomina zjawę, zbędne kilogramy nie otulają jej ciała jak dawniej, można by przysiąc, że ubranie obwisło na niej po tej jednej nocy, a krągłe ramiona skuliły się od nadmiernego trudu, „która godzina?”, nalega Minnie, Luisa jak zahipnotyzowana otwiera

szafki, wyjmując wyblakłe ze starości nakrycia, „czas na śniadanie, czas na śniadanie”, powtarza i z przyzwyczajenia przygotowuje stół dla trzech osób.

Jedzą obie o porze, gdy sąsiednie domy pokryte są jeszcze poranną mgłą, a ulice wokół uparcie milczą, za pół godziny wszystko się zmieni, Luisa wie, że gdy wstanie dzień, nic już nie będzie takie samo, więc zawiera nadzieje tej odrobinie czasu, która jej jeszcze pozostała, myśli podobne ceniom kurczą się i wydłużają, żeby wypełnić przestrzeń czekania, zanim nadejdą wieści, które przeczuwa, bo syn wdał się w gangsterkę i narkotyki, powiedzieli jej o tym w kościele baptystów, żeby ją przywołać do porządku i sprowadzić na drogę Pana, a ona przez dwa tygodnie biła się z myślami, bo co to komu da, że przestanie chodzić na nabożeństwa, że będzie inna, że się sprzeciwi dyktatowi miejscowej społeczności, tylko że nie ma już w niej ani wiary, ani nadziei na drugą czy trzecią szansę, która spadnie jak manna z nieba i nakarmi do syta długotrwale złaknionych.

Minnie przygotowuje plecak i biegnie, żeby zdążyć na szkolny autobus, Luisa przyciąga kuchenny stołek pod okno i siada przy zsuniętej na bok zasłonce, Minnie goni autobus, który przyspiesza, Luisa wsłuchuje się we własny oddech, w szmer przebrzmiałych domysłów, wszystkie te „trzeba było, a gdybym, wtedy może” obezwładniają ją, biją w nią jak młotem, Minnie traci z oczu autobus, który

nabiera prędkości i zamienia się w rozedrgany punkt na linii ciemnoczerwonego horyzontu, Luisa wciąga powietrze głęboko, chwyta się za pierś i osuwa się na podłogę, serce nie chce dłużej mieszkać w tym ciele, zaciśnięta, uniesiona pięść jest świadectwem ostatniego daremnego boju.